WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 22 (36)
Rok II
3. VI. 1962 r.

JULIAN WOŹNIAK

Przewodnik do źródła wiedzy

WOJEWÓDZKI Sejmik Przyjaciół Książki, w którego obradach uczestniczyłem w niedzielę 27. ubm., stał się dla mnie okazją do poznania najaktualniejszych problemów czytelnictwa książek w województwie rzeszowskim. Dzięki wystąpieniom uczestniczących w obradach bibliotekarzy, kierowników bibliotek, działaczy kulturalno-oświatowych, wreszcie przedstawicieli kompetentnych władz, poznałem aktualny stan rozwoju bibliotek, rolę bibliotekarza w dokonywających się przeobrażeniach społeczno-politycznych, zadania, które ma do wykonania w najbliższym okresie aktyw popularyzujący czytelnictwo.

Na rzeszowskiej wsi działa ponad 500 bibliotek gromadzkich oraz ponad 1.000 punktów bibliotecznych. W rejestrach tych placówek znajduje się ok. 180 tys. czytelników, przy czym ich liczba z każdym rokiem poważnie wzrasta. Same tylko biblioteki wiejskie zarejestrowały w roku 1960 ponad 14 tysięcy nowych czytelników, a w roku 1961 przybyło ich 17 tysięcy. W miastach, miasteczkach i osiedlach Rzeszowszczyzny jest w tej chwili pełna sieć bibliotek dysponujących 800 tysiącami woluminów łącznie. W czytelniach miejskich również obserwuje się wzrost liczby czytelników i to właśnie stawia województwo rzeszowskie w rzędzie najbardziej rozczytanych województw w kraju.

Rzecz zrozumiała, w parze z rozwojem czytelnictwa, regały bibliotek publicznych coraz bardziej uginają się pod ciężarem nowych książek. Niezwykle pocieszającym zjawiskiem jest przeznaczanie coraz poważniejszych kwot na rozbudowę księgozbiorów. W 1958 roku na zakup książek dla bibliotek publicznych w woj. rzeszowskim wydatkowano 1.800 tys. zł, w 1959 r. — 2.100 tys. zł, w 1960 r. 3.300 tys. zł, a w 1961 r. już 3.843 tys. złotych. Świadczy to najlepiej o systematycznym uzupełnianiu księgozbiorów najaktualniejszymi wydawnictwami...

W tym miejscu, niestety, muszę się pozbyć owego optymistycznego tonu. Jakkolwiek nakłady finansowe na zakup nowych książek są coraz poważniejsze (co świadczy o docenianiu sprawy rozwoju czytelnictwa przez przedstawicieli władzy terenowej, którzy kwoty te wykrawają z budżetów rad narodowych), to jednak nie wszędzie takie pozytywne zjawiska występują. Podczas gdy w powiecie kolbuszowskim, czy dębickim szczodrą ręką przyznaje sie bibliotekom fundusze na powiększenie księgozbiorów — to np. w powiecie ustrzyckim, nie kupuje się książek w ogóle. A przecież uchwała WRN z maja 1960 roku zobowiązuje do powiększania księgozbiorów bibliotek powszechnych, w takim stopniu, by w 1965 roku co najmniej dwie książki przypadały na jednego mieszkańca naszego województwa. Wymaga to podwojenia obecnego stanu księgozbiorów. O tym nie powinny zapominać prezydia rad narodowych wszystkich szczebli przy dzieleniu budżetów i nadwyżek budżetowych. Niebagatelne znaczenie dla sprawy rozwoju czytelnictwa mają też organizowane przy bibliotekach czytelnie.

Osobny rozdział obszernej publikacji można by poświęcić problemowi samej pracy bibliotekarza. Szczupłość miejsca nie pozwala mi jednak na rozwinięcie tego tematu.

Wzrastająca wciąż liczba czytelników świadczy najlepiej o coraz powszechniejszym docenianiu wartości, które daje książka. Ale — jak mówił na sejmiku przyjaciół książki przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki — czytelników niejednokrotnie porównać można do ludzi w restauracji, którzy zamawiają to co im smakuje, ale nie zawsze wiedzą co jest pożywne.

Dobry bibliotekarz, to nie tylko psycholog, który potrafi poznać gust kandydata na czytelnika i zaspokoić jego ciekawość. Dobry bibliotekarz, to jednocześnie działacz kulturalno-oświatowy, budzący zainteresowania czytelnicze w środowisku, w którym działa. A dróg zmierzających do tego celu jest przecież wiele. Toteż bibliotekarz — działacz kulturalno-oświatowy powinien w swej pracy stosować rożnorakie formy, których cały szeroki wachlarz jest dostatecznie znany.

Jak wykazują prowadzone statystyki wypożyczeń, najpopularniejszymi autorami wśród czytelników zarejestrowanych w bibliotekach powszechnych są nieprzerwanie: Kraszewski, Prus, Żeromski, Konopnicka... To dobrze! Ale... Niezbyt pocieszającym zjawiskiem jest natomiast to, że przy rozczytywaniu się w powieściach klasyków literatury rodzimej, zbyt szczupła garstka czytelników sięga po literaturę współczesną, naukową i popularnonaukową.

Nie możemy zapominać o tym, że o całokształcie naszej ekonomiki i postępu decyduje człowiek, a człowiek posiadający większy zasób wiedzy — pracuje lepiej, oszczędniej i wydajniej!

Ktoś się kiedyś wyraził: „Książka jest siostrą szkoły". Ja bym do tego określenia dodał:... i źródłem wiedzy pulsującym nieprzerwanie. Bibliotekarz powinien być odkrywcą i nieomylnym przewodnikiem prowadzącym do takich właśnie źródeł.

Kierunek działania został już sprecyzowany jasno. Na wieś przybywa coraz więcej maszyn rolniczych. Telewizja obejmuje swym zasięgiem wciąż nowe połacie kraju. Nowoczesne urządzenia techniczne zastępują pracę gospodyń domowych. Stosowanie nowoczesnych metod uprawy roli daje większe, obfitsze plony... Zmienia się oblicze naszych miast i wsi. Odmienne warunki życia stawiają przed człowiekiem nowe wymogi. Toteż kto chce za życiem nadążać, nie pozostawać w tyle, musi rozumieć sens dokonujących się przemian, musi poznać zasady obsługi i działania maszyny rolniczej, telewizora, pralki, musi wiedzieć jakie nawozy stosować pod uprawę pszenicy, a jakie pod uprawę kukurydzy. Drogę do owego źródła wiedzy winien wskazać właśnie bibliotekarz, popularyzator czytelnictwa literatury popularnonaukowej, fachowo-rolniczej i społecznej.

Czesław Piotr Kondraciuk

PROWADŹ DWUDZIESTOLATKO

Narodziłaś się
w nędznym barłogu
Twojej Matce
na imię było — Walka
nad kolebką
śpiewała ci pieśni
zbuntowana brać proletariacka
i przez lata
syczących płomieni
wóz historii
przetoczył swe koła
kroczył człowiek
z książeczką w kieszeni
a książeczka ta
była czerwona
wtedy
niełatwo było iść
wróg zza węgła
strzelał uparcie
książeczka więc broczyła
we krwi
krew pisała
historię Partii

* * *

żeby nowy wyrastał chleb
żeby ziemia
przeszła w chłopskie ręce
peperowiec
do walki szedł
szedł odważnie
nie bał się śmierci
prowadziłaś go
w nowy świat
w którym równa
dla wszystkich jasność
w ciągu swoich
dwudziestu lat
spotężniałaś —
wyrosłaś Partio
dziś radosna
wystrzela pieśń
w każdym dźwięku
brzmi wielka siła
śpiewa miasto
śpiewa ją wieś —
w pieśniach
owoc szybciej dojrzewa
pieśń
otwiera ludzkości drzwi
do pokoju
całemu Światu
taką drogą
my chcemy iść —
ty nas prowadź
Dwudziestolatko

* * *

Nad ojczyzną
radosny świt...

Rzeszów, grudzień 1961 r.

LUBOMIR RADŁOWSKI

W Nadrenii i Westfalii rozbrzmiewa polska pieśń

„Płomień rozgryzie malowane dzieje
Skarby, mieczowi spustoszą złodzieje —
Pieśń ujdzie cało..."

(Adam Mickiewicz)

O aktualności tego stwierdzenia naszego wielkiego poety, miałem okazję przekonać się w czasie niedawnego pobytu wśród Polonii w Niemczech zachodnich. Nadrenia i Westfalia to podobnie, jak we Francji okręg górniczy Lens, Pas de Calais, jak w USA Buffalo, Detroit, Chicago, jak ośrodki górnicze w Belgii, Holandii i in. — są głównymi skupiskami na obczyźnie ludności polskiej, wywodzącej się ze starej emigracji zarobkowej lub politycznej, osiadłej i żyjącej, co najmniej od dziesiątków lat z dala od ojczyzny.

O ile jednak mamy sporo informacji o życiu i warunkach pracy Polonii amerykańskiej, brazylijskiej czy francuskiej, to niewiele dotychczas wiemy o życiu Polaków w Niemczech zachodnich.

W czasie 4-tygodniowego pobytu w NRF miałem okazję zwiedzić Frankfurt nad Menem, Kolonię, Düsseldorf, Essen, Bochum, Dortmund i inne ośrodki, w których żyją Polacy, lecz to z czym spotkałem się właśnie w Nadrenii i Westfalii — przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Właśnie tam, w rejonie o krajobrazie zbliżonym do naszego Śląska, wśród dymiących kominów hut i wież wiertniczych kopalni węgla, u styku granicy niemiecko - francusko - belgijskiej — żyje sporo Polaków, potomków Drzymały, którzy musieli opuścić ziemię polską w wyniku dyskryminacyjnej polityki Bismarcka. Przesiedlona na zachód Europy w ubiegłym stuleciu i uzupełniona następnie przez liczne rzesze emigracji zarobkowej Polonia, przeżyła niezwykłą gehennę pod rządami kajzerów, a następnie Hitlera. Po rozgromieniu Niemiec hitlerowskich duża część Polaków reemigrowała do kraju. Obecnie żyje w Niemczech zachodnich około 150 tys. Polaków, w tym najliczniejsza, zwarta grupa tzw. starej Polonii, licząca kilkadziesiąt tysięcy osób znajduje się w okręgu nadreńsko - westfalskim. Znaczna część Polonii skupia się w Związku Polaków w Niemczech „Zgoda", mającym swą siedzibę w Bochum.

I właśnie ta Polonia zgrupowana w „Zgodzie" stanowi najbardziej patriotyczną, rozumną, kochającą swój język i tradycje narodowe część naszych rodaków żyjących w Niemczech zachodnich.

Związek Polaków „Zgodą" liczy ponad 70 kół — tzw. „Gromad", w których prowadzi około 30 szkółek-kursów nauczania dzieci języka polskiego. Polską pieśń i taniec krzewi 12 chórów i zespołów tanecznych. Działa tu również kilka polskich orkiestr dętych i smyczkowych, a nawet dwie drużyny piłki nożnej. Niektóre chóry, jak „Fiołek" w Recklinghausen, który w roku 1961 obchodził uroczyście 65-rocznicę istnienia, „Halka" w Bochum, „Polonia" w Düsseldorfie, „Słowik" w Hamborn-Marxloh i wiele innych, cieszą się nie tylko zasłużoną sławą i popularnością wśród Polonii, ale również zyskały sympatię ludności niemieckiej.

Miałem okazję odwiedzić niektóre szkółki, w których młodzież polska uczy się ojczystego języka. Byłem na kilku próbach i występach chórów, rozmawiałem z wieloma rodakami i na tej podstawie utwierdziłem się w przekonaniu, że nasza patriotyczna Polonia jest w kraju swego zamieszkania ambasadorem Polski.

Zawołanie „Cześć polskiej pieśni" — jest czymś więcej niż hasłem. Dowodzi to jak silną więzią złączeni są Polacy z ojczyzną swoich ojców. Jak wytrwale walczyli, pokonywali przeszkody, trudności i zwyciężali. Wbrew zakazom, karom i prześladowaniom krzewili język i pieśń polską w radości i smutku.

Jeden ze znanych działaczy ruchu śpiewaczego w Niemczech górnik-emeryt Czesław Leśniak w rozmowie ze mną mówił, że: „...tu na obczyźnie nic tak mocno nie łączy jak pieśń, piękna melodyjna polska pieśń. Bez pieśni źle jest żyć. Źle jest bez pieśni i dlatego do pieśni garną się wszyscy starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni".

W piśmie „Głos Polski" wydawanym przez Związek Polaków „Zgoda" w Bochum, można przeczytać takie oto zdanie o znaczeniu pieśni polskiej na obczyźnie: „Pieśń nasza, ukochana wśród mąk i prześladowań żyła i rosła, zataczała coraz większe kręgi, zdobywała sobie coraz więcej miłośników, wielbicieli wśród ludu naszego, lgnąc nam do serca, jak wszystko co dobre i wzniosłe..." „Jednoczymy się pod skrzydłami tej przecudnej naszej pieśni, która była i jest nam wierną towa-

CIĄG DALSZY NASTĄPI

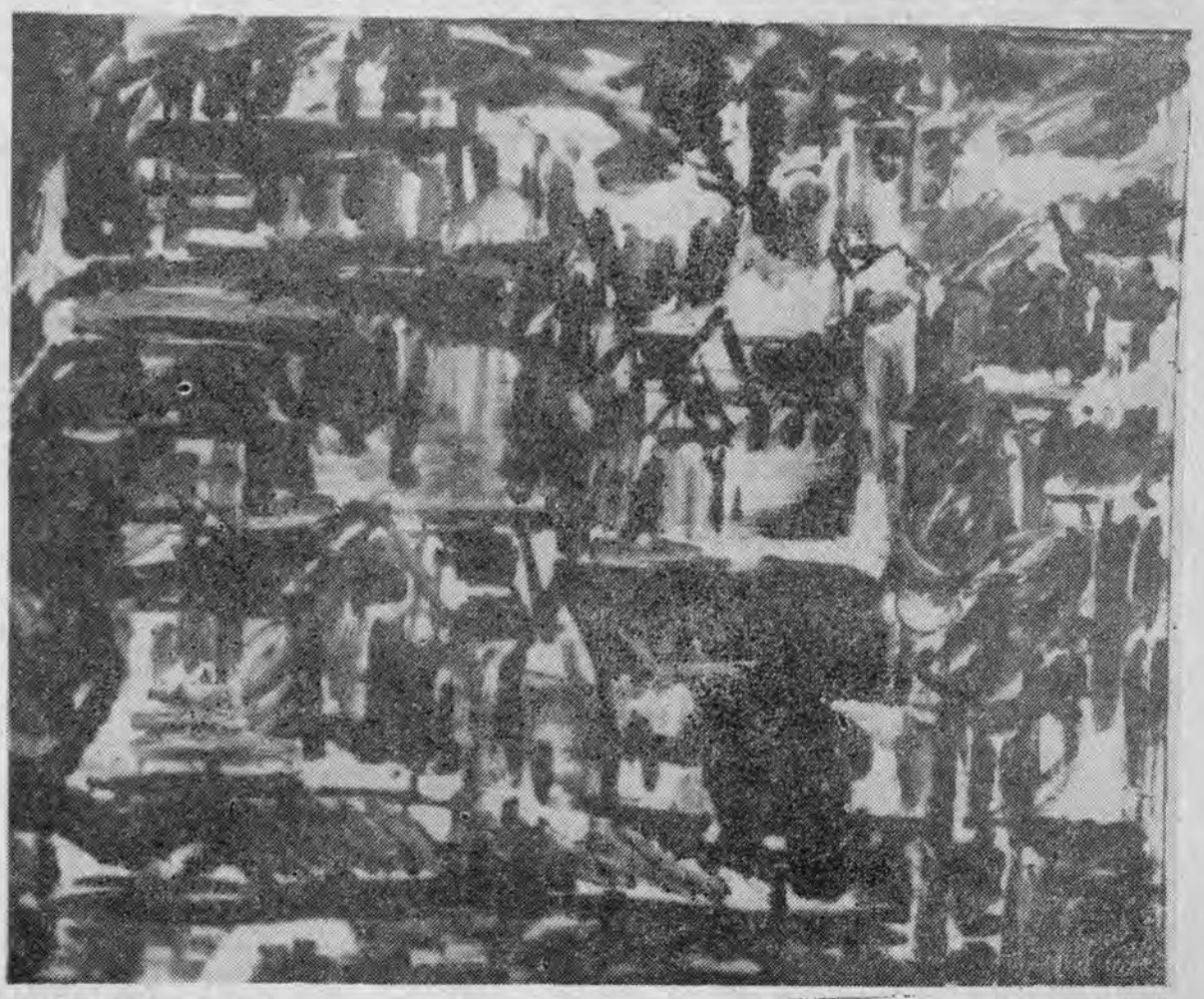

Robert Pełczyński — Pejzaż

Foto: A. Kud

2 bm. w Białej Sali Zamku łańcuckiego rozpoczynają się Dni Muzyki Kameralnej.

Festiwal chórów polskich

Drugi Festiwal Chórów Polskich, którego organizatorem jest Zarząd Główny Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, odbędzie się w Poznaniu w dniach od 5 do 8 lipca br.

Na centralne imprezy zjadą do Poznania krajowe zespoły chóralne oraz kilka chórów polonijnych, łącznie przeszło osiem tysięcy śpiewaków, a do zespołu masowego stanie od pięciu do sześciu tysięcy chórzystów, którzy wykonają kilka utworów a cappella i z towarzyszeniem orkiestry. Tego rodzaju zbiorowe imprezy przy udziale kilku tysięcy śpiewaków odbywają się co 25 lat i dlatego stanowią dla chórzystów i dyrygentów niebywałą atrakcję.

Impreza ta organizowana jest pod hasłem: „Przyjeżdżamy na Festiwal z nowym repertuarem". Za nowy repertuar chóralny uznano pozycje skomponowane w latach 1957—1962 oraz mało znane lub nieznane utwory kompozytorów polskich XIX w. i pierwszej połowy XX wieku.

Z terenu naszego województwa w Festiwalu Chórów Polskich wezmą udział następujące zespoły śpiewacze: „Echo Górskie" Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu z Dukli, „Echo" Związku Zawodowego Kolejarzy z Jasła, „Echo" Prez. Miejskiej Rady Narodowej z Krosna, „Harfa" Związku Nauczycielstwa Polskiego z Kołaczyc, chór Ochotniczej Straży Pożarnej z Lubli oraz chór mieszany im. St. Moniuszki z Huty Stalowa Wola.

Dla zapoznania szerszych kręgów społeczeństwa naszego województwa z osiągnięciami tych chórów zostaną zorganizowane imprezy przedfestiwalowe w formie koncertów. Wojewódzkie imprezy śpiewacze tzw. Małe Festiwale odbędą się w Jaśle dnia 3 czerwca i w Rzeszowie 17 czerwca br.

Program koncertów przewiduje występy poszczególnych zespołów chóralnych z własnym programem oraz występy połączonych chórów, które wykonają pieśni ludowe i artystyczne kompozytorów polskich: F. Nowowiejskiego, S. Rączki, P. Maszyńskiego, H. Łapińskiego, B. Walka-Walewskiego, W. Lachmana, W. Żeleńskiego, J. Ambrosa, T. Chachaja i T. Czapli.

Przedfestiwalowe imprezy śpiewacze będą doskonałą okazją do podsumowania dorobku występujących zespołów amatorskich.

Szkoda tylko, że jak dotąd, nie wszystkie zespoły istniejące na terenie naszego województwa zgłosiły swój udział w festiwalu.

RYSZARD STACHNIK

NA ROZSTAJNYCH DROGACH

SIEDEM różnych zespołów, prezentujących siedem różnych tematycznie (i artystycznie!) widowisk wzięło udział w przeglądzie związkowych teatrów amatorskich, zorganizowanych przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych w Rzeszowie.

Dwie z pokazanych na przeglądzie sztuk (J. Broszkiewicza „Karczma pod Czarnym Wąsem" i W. Bodnickiego „Stara Baśń") nawiązywały do tematyki historycznej; cztery następne (A. Wydrzyńskiego „Śmierć Hamleta", L. Kruczkowskiego „Niemcy", J. Korcellego „Dom na Twardej" i A. Sterna „Nowe przygody Szwejka") powracały do tematyki minionych lat wojny; natomiast ostatnią (J. Jesionowskiego „Milion") miała klasyczne ramy — współczesnej tematycznie — dość zabawnej reklamówki propagującej wyzywanie szczęścia w szranki loteryjne.

Wartość pozycji prezentowanego repertuaru bardzo różnorodna. Podobnie z wykonawstwem. Zespół Zakładowego Domu Kultury huty Stalowa Wola przywiózł z sobą drukowane programy teatralne i widowisko starające się naśladować wzory teatru zawodowego. Niewątpliwie wykonawcy sztuki „Śmierć Hamleta" na ogół są uzdolnieni i wkład ich pracy zasługuje na uznanie, ale nadmierne poszukiwania formalne tym razem zaszkodziły widowisku. Jest ono żenująco nieporadne jak na schematy zawodowe; a zbyt wypozowane i sztuczne jak na pojęcie amatorstwa.

Natomiast sympatyczny zespół Zakładowego Domu Kultury z Turaszówki ofiarował nam wrażenia kontrastowo różne. Życzliwość i serce widowni zdobył dla swego zespołu jego kierownik już w chwili, gdy przed rozpoczęciem spektaklu wyszedł przed kurtynę i z widocznym drżeniem osobiście przeżywanej tremy poprosił o wyrozumiałość dla zdenerwowanej grupy amatorów — entuzjastów teatru. Gdy rozsunęła się kurtyna, w trakcie toczącej się scenicznej akcji, dużo było tam reżyserskiej i aktorskiej nieporadności, ale nad całością unosiła się jakże cenna atmosfera szczerości i prawdziwego czaru niekłamanego amatorstwa.

Najkorzystniejsze jednak wrażenie wywarł na mnie efekt wysiłku zespołu łańcuckiej „Lutni", w wykonaniu którego oglądaliśmy sztukę J. Korcellego „Dom na Twardej". Na uwagę zasługuje nie tylko zaangażowany politycznie wybór sztuki nawiązującej do tradycji 20-lecia PPR; ale i duży wkład pracy wniesiony w jej przygotowanie. Amatorzy z Łańcuta z dumą przypominają, że razem z nimi grał kiedyś Ludwik Solski; wspominają też o tym, że obecną inscenizację „Męża i żony" w wykonaniu zawodowych artystów Teatru im. W. Siemaszkowej chcą oglądnąć tym chętniej, że sami grali tę komedię. Jednak nie przejaskrawiają swych ambicji i w tym kryje się urok amatorskiego flirtu z Melpomeną. Dobrze, gdy powoduje on poszerzanie się kręgu zainteresowań — źle, gdy stara się naśladować zawodowe wzory.

I tu — nie tylko zresztą — na marginesie doświadczeń tygodniowego przeglądu, natarczywie nasuwają się niepokojące wnioski. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa subiektywnej oceny i dlatego wrażenia swe traktuję dyskusyjnie. Ewentualne wypowiedzi na ten temat być może dopomogłyby do trafniejszego wypunktowania diagnozy. Bo symptomy choroby istnieją. Moim zdaniem teatr amatorski znajduje się, niestety, na rozstajnych drogach nade wszystko repertuarowo, ale dotyczy to również środków artystycznego wyrazu.

Głównym zjawiskiem tej „choroby" jest nagminnie zauważalna tendencja zazwyczaj mechanicznego naśladownictwa wzorów teatru zawodowego. Wyraża się to w jakże częstym niewłaściwym wyborze sztuk przerastających realne możliwości wykonawcze, a także w zbyt daleko idących poszukiwaniach formalno - realizatorskich. Pomijając już sprawę mniejszych możliwości aktorskich, z konieczności eksploatacja amatorskiego spektaklu ograniczona zaledwie do kilku wystawień, pochłania jednocześnie tyle pieniędzy, że przygotowanie amatorskiego widowiska kosztuje niekiedy drożej niż w... teatrze zawodowym!

Razi również reklamowe eksponowanie nazwisk (i zdjęć!) poszczególnych wykonawców. Stąd tylko krok do coraz częściej występującego w amatorskim ruchu — gwiazdorstwa. Tak np. wyolbrzymione mniemanie o własnej wartości stało się przyczyną tego, że w omawianym przeglądzie zabrakło co najmniej dwóch zasłużonych amatorskich zespołów teatralnych. Słusznie jednak zrobił sekretarz WKZZ tow. Józef Woźniak rezygnując z nich, bo gwiazdorstwa — choćby nawet zespołowego — nie można popierać, a nawet powiedziałbym... nie wolno tolerować!

Równolegle ze stwierdzeniem, że amatorski ruch teatralny znajduje się na rozdrożu, należałoby wskazać na kierunek wyjścia z impasu. Niestety, odpowiedź jest trudna i dobrze byłoby, aby refleksje moje sprowokowały dyskusję, której podsumowanie mogłoby łatwiej nasunąć wnioski. Uważam, że — w zasadzie — amatorskie zespoły teatralne nie powinny „porywać się" na typowe pozycje teatru zawodowego; jednak jednocześnie odczuwa się dotkliwy brak utworów pisanych specjalnie dla zespołów nie zawodowych. Osobiście pewną szansę widzę w teatrach poetyckich (w trakcie omawianego przeglądu uwypuklił się zastraszający brak troski o słowo, wyrażający się nawet w niechlujstwie językowym); a także w repertuarowym wyborze krótkich pozycji eksperymentalnych, czego wyrazem było duże ich powodzenie na niedawnym lubelskim festiwalu amatorskich kabaretów.

Trudno w tej sytuacji o wskazanie nowych traktów dalszego rozwoju amatorskiego ruchu teatralnego. Drogi tej nie wskażą żadne drogowskazy. Jej odnalezienie należy do samych amatorów.

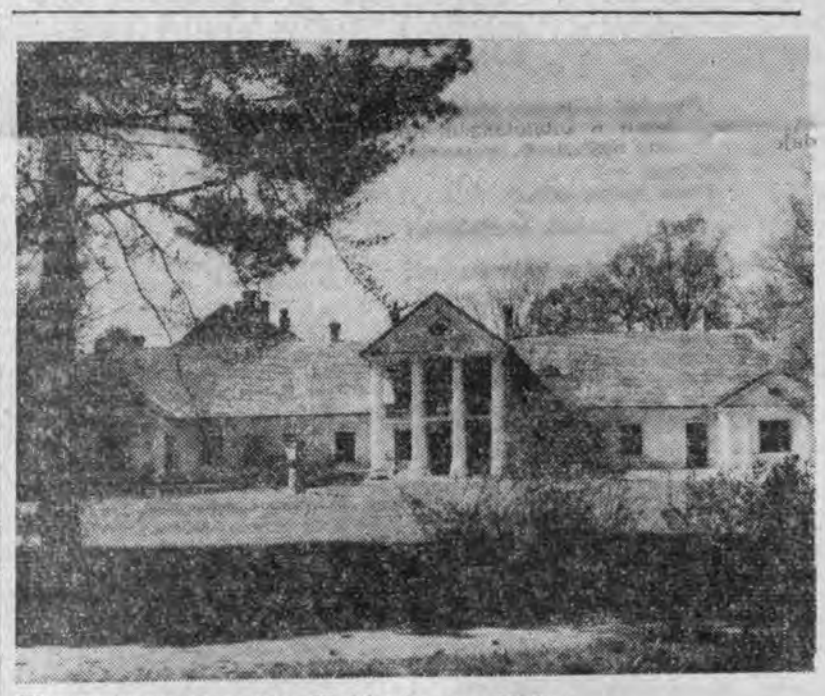

Klasycystyczny dworek w Wojsławiu pow. Mielec.

foto. Z. Postępski

JULIAN KAWALEC

ZIEMIA

Wiele już razy orał to pole i wiele razy bronował na długość i na szerokość; dawał na to pole gnój i inne nawozy, rozstrząsał równo na nim krowie, końskie i świńskie lajno, a mimo to, gdy poszedł na granicę pola i przychylił się i przygiął nogi tak, że mu zadrżały stare kolana i popatrzył po płaszczyźnie roli, to musiał zauważyć tę przeklętą smugę, przecinającą to pole na dwie nierówne części. Ta nieznacznie zarysowana smuga na tej roli była na linii dawnej miedzy, która rozgraniczała jego pole od dworskiego obszaru. Miedza była do wiosny 1945 roku; w tym czasie rozparcelowano dwór i przydzielono mu z dworskiego 4 morgi i on zaorał miedzę.

Teraz jest już rok 1961 i miedzy już dawno nie ma, tylko utrzymuje się ta delikatna smuga na roli i trudno ją wymazać, bo pole dworskie różniło się od pola chłopskiego, bo dworskie pole żarło dużo gnoju i dużo różnych nawozów, bo na to pole nawozili czarną próchnicę i ono pulchniało, tłuściało, stawało się lekkie, a chłop po swoim łaził tylko nożyskami i gładził je ręką i pochylał się nad nim i ręką wsiewał ziarno. Musiały się też te pola różnić kolorem, bo jeszcze teraz jest ta smuga na linii dawnej miedzy, na którą wiosną 1945 roku wjechał ten, dziś już stary, ale wtedy jeszcze niestary Walenty. Wjechał parą koni, bo parą koni najlepiej rozorać miedzę. Konie poszły po dwóch stronach miedzy, a szeroki pług rwał ją i rwał i rzucał na bok jej kawałki i po kilku, a może kilkunastu minutach, na miejscu miedzy była bruzda, a nad tą bruzdą unosił się kurz, bo wtedy było sucho.

Wiosną 1935 roku piętnastoletni syn Walentego, ten chudy, blady syn usiadł na tej miedzy, której już od 16 lat nie ma i plunął czerwoną śliną na wysoką, twardą trawę, a ta ślina nim się zsunęła po źdźble trawy, zawiesiła się na jej wierzchołku i wyglądała przez chwilę jak samotny, czerwony kwiat wśród zieleni; a później ten blady chłopak jeszcze bardziej pobladł i plunął różową, pienistą krwią, a później się położył na miedzy. Do domu nie mógł wrócić o własnych siłach, ojciec przywiózł go na taczkach. Gdy go wiózł, ludzie, którzy byli wtedy na polach i widzieli to z daleka, śmiali się, bo śmieszne było to wiezienie piętnastoletniego chłopaka na taczkach, na których wozi się jakąś zieleninę zawiniętą w płachtę albo małe dzieci. Ale nagle przestali się śmiać, bo zrozumieli, że stało się coś niedobrego, jeśli doszło do takiej śmieszności i zaczęli biec za tym ojcem wiozącym syna na taczkach, a potem podawać głośno wiadomość po całym obszarze pól o tym, co się stało na tej miedzy.

Chorego położono na łóżku w izbie i na drugi dzień przywieziono mu doktora z miasta.

To działo się wiosną 1935 roku, a teraz mamy 1961 rok, czyli od czasu parcelacji dworskich gruntów minęło już 16 lat i już 16 lat nie ma tej miedzy, na której zasłabł syn tego starego; a od czasu choroby i śmierci tego chłopaka mija 26 lat, bo ten wysoki, blady chłopak umarł późną jesienią 1935 roku. Żył jeszcze, gdy matka wyszła do kuchni, żeby mu przynieść wody, a ojciec wyszedł z domu, żeby przywołać psa, bo chory chciał się przypatrzeć psu; gdy wrócili — matka z wodą, a ojciec z psem — chłopak już nie żył, ale jeszcze patrzył na oczy, więc mu ojciec szybko nasunął powieki i przeżegnał się i matka też się przeżegnała.

I tak się skończyła ta od kwietnia do listopada trwająca choroba tego chłopaka. Ojciec, orząc tę miedzę rozgraniczającą półtora morga jego ziemi od pól dworskich i wyżynając pługiem po linii naznaczonej palikami nową granicę swojego pola na gruntach dworskich i przyłączając do swojego półtoramorgowego kawałka cztery morgi z dworskiego, musiał sobie chyba przypomnieć szept tego przeklętego, tłustego doktora, który wtedy w kwietniu 1935 roku po zbadaniu chorego chłopaka wyszeptywał w izbie, że można go uratować, jeśli się go pośle najpierw do szpitala na operację, a potem na długie leczenie do sanatorium w górach. Gdy ten doktor tak szeptał do ucha matce i ojcu chorego, żeby ten chory nie słyszał jego słów o tym długim pobycie w szpitalu i o tym długim leczeniu w sanatorium, to sobie ten ojciec i ta matka musieli wyobrazić swój półtoramorgowy kawałek pola, bo ten ich mały kawałek pola musiał się im wtedy w wyobraźni zaprezentować jako ten obrzydliwy w swej małości o dziwnym, nieokreślonym kształcie zagon, ograniczony z jednej strony miedzą pól dworskich, z drugiej strony płotem sadu, a dalej drogą i jeszcze jedną krótką miedzą, za którą było pole sąsiada; i musieli znienawidzieć ten ogryzek roli, bo sobie zaraz musieli wyobrazić kupca, który z nimi dobija targu, kupuje od nich pole i daje im pieniądze, które oni przeznaczają na leczenie chłopaka; i musieli jeszcze bardziej znienawidzieć to swoje pole, bo musieli pomyśleć, że powinni je sprzedać żeby ratować chłopaka, a także dlatego, że musieli w końcu pomyśleć, że nie powinni tego pola sprzedawać, bo oprócz tego chorego jest ich troje, bo mają jeszcze córkę i można pozwolić jednemu umrzeć, żeby troje żyło.

Teraz mamy jesień 1961 roku i właśnie ten stary Walenty zaorał pole pod jesienny zasiew i jeszcze dostrzegł tę długą smugę na roli, choć już tyle lat minęło od zaorania granicy między jego polem a dworskimi polami; i ta smuga będzie do czasu nim zazieleni się żyto, któ-

JERZY MIRECKI

NA SKRZYŻOWANIU KULTUR

(Z NOTATNIKA BUŁGARSKIEGO)

Przesuwające się przed oczyma obrazy tworzą barwną mozaikę. Z wystawy współczesnej grafiki wychodzi się na wschodni bazar, o którym tyle się czytało. Drogą mkną najbardziej nowoczesne samochody, a trochę dalej idzie nią dziewczyna w szarawarach, prowadząca objuczonego osiołka.

CEL: DOGONIĆ INNYCH

BUŁGARIA jest niewątpliwie wciąż jeszcze krajem wielkich kontrastów. Niemniej droga jej rozwoju została wyraźnie wytyczona: naród bułgarski stara się jak najszybciej dogonić kraje wysoko cywilizowane. Trzeba przy tym dodać, że mu się to już dotychczas udało zrobić w poważnej mierze.

Centralne położenie na Bałkanach („bałkan" oznacza po bułgarsku górę) predestynuje Bułgarię do odegrania w przyszłości istotnej roli w tym rejonie Europy. Wprawdzie ludności ma w obecnej chwili niespełna osiem milionów — to jednak prężność tego narodu, zahartowanego w wieloletnich bojach o wyzwolenie narodowe i społeczne — jest szczególnie duża. Zupełnie nie znane przedtem możliwości otworzyły się zaś przed ludem bułgarskim w 1944 roku.

W Bułgarii obserwuje się teraz prawdziwy rozkwit nauki. Poważnymi osiągnięciami badawczymi może poszczycić się Bułgarska Akademia Nauk i wiele instytutów. W ponad dwudziestu wyższych uczelniach studiuje blisko 50 tysięcy studentów, z czego kilkanaście tysięcy w wyższych uczelniach technicznych. Bułgaria znajduje się na drugim miejscu w Europie pod względem liczby studiujących, w stosunku do ogółu mieszkańców.

W celu przygotowania kadr z wyższym wykształceniem utworzono m. in. po ostatniej wojnie Wyższy Instytut Chemiczno-Technologiczny, który w ciągu ośmiu lat wyszkolił trzykrotnie więcej chemików aniżeli ich było łącznie w Bułgarii w dawniejszym okresie samodzielnego istnienia tego kraju, trwającego z górą pół wieku. Jeśli po wyzwoleniu Bułgaria miała nie więcej niż dwudziestu geologów — to dzisiaj posiada już tysiąc specjalistów w tej tak ważnej dziedzinie, ze względu na potrzebę odkrywania wciąż nowych złóż surowców.

Pięciokrotnie wzrosła w okresie powojennym liczba czytelników w bibliotekach. Rocznie wydaje się blisko trzy tysiące tytułów książek o nakładzie ponad 20 milionów egzemplarzy. Na każdy tysiąc mieszkańców przypada dziennie dwieście egzemplarzy gazet i czasopism. Szczególnie wielkie przemiany dokonały się zwłaszcza na wsi.

KONTAKTY MIĘDZYNARODOWE

ROZWÓJ KULTURALNY Bułgarii zasługuje na uwagę, ponieważ kraj ten znajdował się zawsze na skrzyżowaniu różnych kultur, a przez pięćset lat nosił jarzmo tureckie. Miały tu miejsce przemarsze Traków, Rzymian, Gotów, Hunów, Węgrów — zanim Słowianie opanowali Półwysep Bałkański. Trasą: Aleksandria, Kair, Bejrut, Port Said — podróżowali stale kupcy bułgarscy.

Wpływy wielu kultur dają się wyraźnie odczuć w sztuce i literaturze bułgarskiej, jak też w codziennym życiu tego kraju. Dlatego też niewątpliwie twórczość utalentowanego narodu bułgarskiego jest tak różnorodna, żywa i bogata. Nas, ze zrozumiałych względów, interesują przede wszystkim kulturalne kontakty polsko-bułgarskie.

U podstaw przyjaźni naszych narodów leży — jak wiadomo — czynne wystąpienie niegdyś Władysława III przeciw Turkom. Nosi on miano Warneńczyka, gdyż poległ w pobliżu największego bułgarskiego portu czarnomorskiego, który nazywa się Warna. Niedaleko tego miasta, przy drodze do wsi Władysławowo, znajduje się mauzoleum ku czci polskiego króla, często odwiedzane przez jego rodaków. Kiedy byłem w mauzoleum widziałem w nim świeże wieńce od zespołu artystycznego Związku Podhalan z Zakopanego i od grupy górników z Katowic.

Nazwiska wielu Polaków związane są z bułgarskim ruchem wyzwoleńczym. I tak, malarz Dębicki ilustrował rewolucyjne pisma „Budilnik" („Budzik") i „Tapan" („Bęben"), redagowane przez Christo Botewa. Żywe zainteresowanie Polaków losem społeczeństwa bułgarskiego odzwierciedlają powieści Zygmunta Miłkowskiego. Wiele miejsca poświęcił Bułgarii w swoich dziełach Teodor Tomasz Jeż.

WIĘZY Z POLAKAMI ZACIEŚNIAJĄ SIĘ

Tysiące polskich emigrantów znalazło się w Turcji i Bułgarii po powstaniu listopadowym i styczniowym. W bułgarskim mieście Burgas, w którym w 1855 roku przebywał Adam Mickiewicz — stoi pomnik ku jego czci. Podróżował tędy Henryk Sienkiewicz, a Maria Konopnicka napisała piękny wiersz p.t. „Petko Sławejkow", aby oddać hołd temu, który wyszedłszy z chłopskiej chaty dał ludowi bułgarskiemu „pieśń bólu i pieśń boju".

W międzywojennym dwudziestoleciu wydawane było w Bułgarii czasopismo „Przegląd Polsko-Bułgarski". Pierwsza antologia poezji polskiej po bułgarsku ukazała się w 1921 roku. Niedługo potem Leon Schiller wystawił na scenie sofijskiej Teatru Narodowego „Dziady" Mickiewicza.

W ostatnich latach polsko-bułgarskie kontakty kulturalne zacieśniły się jeszcze mocniej. Na język bułgarski przełożonych zostało kilkadziesiąt książek autorów polskich, a m. in „Noc" Andrzejewskiego, „Obywatele" Brandysa, „Rzeczywistość" i „Wrzesień" Putramenta.

Bułgarzy stosunkowo dość dużo wiedzą o nas. Sporo z nich, głównie ze starszej generacji — studiowało w Polsce. W Płowdiwie mieszka np. dziewięćdziesięcioletni Netko Donczew Kableszkow, który był kiedyś na studiach w Krakowie, a jeszcze dziś potrafi recytować z pamięci fragmenty „Pana Tadeusza". Ponieważ „Mazowsze" przed kilku laty występowało w tym mieście — staruszek zna też piosenkę „Kukułeczka".

Język polski jest dla Bułgara na ogół trudny do opanowania. Rażą go w naszej mowie spółgłoski sz, brz, drz... Niektóre słowa brzmią podobnie, ale mają inne znaczenie — np. bułka oznacza po bułgarsku młodą mężatkę. Mimo trudności językowych Polacy i Bułgarzy rozumieją się doskonale, ponieważ zawsze byliśmy sobie bliscy.

SZTUKA ZBLIŻA WSZYSTKICH

NAJBARDZIEJ przyjacielską atmosferę stwarza zawsze wspólny śpiew, taniec. Udział w zabawie ludowej braliśmy w Tirnowie, jednym z najbardziej malowniczych miast na świecie. Stare, charakterystyczne domy Tirnowa rozłożone amfiteatralnie na skalistym brzegu rzeki Yantra — pozostawiają niezapomniane wspomnienie.

Tam właśnie widziałem jak się tańczy narodowy taniec bułgarski choro. Podczas gdy mężczyźni tureckim zwyczajem przykucnęli — kobiety, trzymając się za ręce tańczyły do upadłego. Dowiedziałem się przy okazji, że choro ma około stu odmian.

Naród bułgarski należy do wyjątkowo muzykalnych. W kraju jest 5 oper (często w repertuarze „Halka"), 12 orkiestr symfonicznych i tyleż operetek. Obok wymienionych placówek zawodowych istnieją amatorskie: 4 opery, kilka teatrów muzycznych i blisko... 40 zespołów operetkowych z prawdziwego zdarzenia!

Po wojnie trzykrotnie wzrosła liczba zawodowych scen dramatycznych i czterokrotnie liczba widzów w tych teatrach. Istnieją osobne teatry dla mniejszości narodowych, jak np. dla Turków, czy Rumunów. Grane jest wszystko — od Szekspira do współczesnych sztuk amerykańskich. Uwagę zwraca kilkadziesiąt co roku premier nowych sztuk bułgarskich.

I na koniec —ruch świetlicowy miał w Bułgarii zawsze o wiele większe tradycje, aniżeli np. w Polsce, lecz obecnie wszedł on już rzeczywiście na dobre w krew Bułgarom. Nie ma wsi, zakładu pracy bez świetlicy, bez zespołu artystycznego. Śpiewają, deklamują w różnych językach, grają melodie z całej kuli ziemskiej.

Do złudzenia przypomina to wszystko istną wieżę Babel — tym bardziej, że wrażenie potęguje jeszcze obecność tysięcy turystów z wielu krajów. W tym roku przyjadą oni znowu licznie do Bułgarii — warto, aby dokładnie przyglądali się życiu kulturalnemu tego kraju, gdyż jest ono wyjątkowo dynamiczne.

Widok Tirnowa

Rysunek G. Deskalowa

Cenna książka o Gorlickiem

Z inicjatywy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gorlicach, Wydawnictwo Literackie przygotowało do druku interesującą książkę pt. „Nad rzeką Ropą". Trzej autorowie: Józef Barut, Stanisław Motyka i Tadeusz Ślawski dają w niej rys historii Biecza, Gorlic i powiatu gorlickiego od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy. Ta prawie 300 stronicowa praca zawiera 173 ilustracje, co nadaje wydawnictwu charakter albumu. Redaktor książki Zofia Żarnecka rekomendując ją czytelnikom tak pisze o pracach poszczególnych autorów: „Tadeusz Ślawski w Bieczu i dawnej ziemi bieckiej jest przede wszystkim historykiem. Przekazuje informacje dotyczące sędziwego grodu bieckiego i traktuje je obszerniej, natomiast bardziej szkicowo przekazuje historię ziemi bieckiej. Innymi, niehistorycznymi kryteriami kieruje się Józef Barut. Jego praca o Gorlicach jest częścią obszerniejszego studium historyczno-urbanistycznego tego miasta (...) Zajmuje się dawną topografią, genezą nazw, początkami przemysłu... Autor trzeciej pracy, Stanisław Motyka, znowu ze względu na konieczność zmieszczenia się w ustalonej z góry objętości druku, musiał dokonać pewnej selekcji. Miał trudności w zachowaniu proporcji między przeszłością, a współczesnością. Dlatego zamiast omawiać poszczególne epoki historyczne wg ich tradycyjnego podziału, wybrał kilka tematów, które uznał za najbardziej reprezentatywne".

Książka „Nad rzeką Ropą" już wkrótce będzie w sprzedaży księgarskiej. Warto więc pomyśleć o zabezpieczeniu dla niej miejsca w bibliotece domowej. Zainteresuje ona bowiem nie tylko historyków, lecz również tych wszystkich, których pasjonuje współczesność tego rejonu Rzeszowszczyzny, a ponadto będzie cennym informatorem dla rzesz turystów.

W jednym z najbliższych numerów „Widnokręgu" ukaże się szersze omówienie tej pozycji wydawniczej.

(Cz. Kł.)

---

re na tym kawałku pola zasieje; ale w lecie, gdy zaorze ściernisko i zabronuje pole, to ta smuga znów się pokaże; ale chyba po kilku latach zniknie zupełnie i nie będzie widoczna nawet na gołej roli, bo pola przez wiele lat jednakowo uprawiane zrównają się wreszcie. Na pewno to nastąpi, bo z każdym rokiem ta smuga robi się coraz mniej dostrzegalna. Ale choć zniknie zupełnie, to ten stary i tak będzie wiedział, że była, bo przecież tego nie zapomni i nie zapomni też tego, że nim doszło do tej zanikającej już smugi powstałej wskutek różnicy w uprawie chłopskiej i dworskiej roli, była miedza i że on szedł po niej w dniu, w którym był doktor u jego chorego syna. Poszedł na pole i szedł tą miedzą, gdy ten doktor zbadał już chorego i wyszeptał to o operacji i długim leczeniu w sanatorium i odjechał. Stary wstąpił na miedzę od strony płotów i szedł nią wolno i przyglądał się swojemu polu; stanął butem na tym miejscu, gdzie zasłabł jego chłopak i gdzie było jeszcze trochę zwietrzałej już krwi na trawie; poszedł dalej i wciąż przyglądał się swojemu polu.

Dobrze pamięta tamten dzień, bo wtedy była ta niepotrzebna gra przed samym sobą, to okłamywanie samego siebie, gdy myślał — to pole czy ten chłopak, który leży w izbie na łóżku; pewnie, że pomyślał, że gdyby sprzedał to pole, to chłopak mógłby żyć i mógłby żyć tylko pod tym warunkiem, bo nic innego nie zostało, bo pożyczki nikt by nie dał, bo już były długi; ale przecież w tej grze, w tej loterii, stworzonej tylko po to, żeby okłamać siebie, żeby tym kłamstwem podratować swój ojcowski honor, musiało wygrać pole; bo to było liche pole i rosło na nim wtedy w kwietniu trochę marnego żyta i trochę marnej pszenicy i miało się zasiać trochę owsa i wsadzić trochę ziemniaków; i dlatego właśnie, że to było liche pole i było go mało, musiało wygrać, i ten chory leżący pod pierzyną na łóżku musiał przegrać.

A i ten blady, chory chłopak godził się z tym, bo on na pewno poznał się na tym szepcie doktora, bo chorzy wyznają się na takim czymś; i też na pewno wiedział, że tu nie może być i tego, i tego, to znaczy, i jego wyzdrowienia, i pola, tylko musi być albo to wyzdrowienie, albo pole, musi być tylko jedno, a więc musi być pole, bo jest go tylko półtora morga i jest liche i jest ojciec, matka, siostra, krowa, cztery świnie, osiem kur, pięć gęsi, pies i kot; a więc musi wygrać pole. Gdyby krzyczał i buntował się, gdyby przywołał matkę, ojca i siostrę i powiedział im — ja chcę żyć, sprzedajcie to pole — postąpiłby zuchwale i śmiesznie, wygłupiłby się i musiałby się potem wstydzić; ale on jest mądry, on ma tę przenikliwą mądrość chorych ludzi i siłę chorych i niezwykłą sprawność zmysłów, jaką daje choroba i on się nie wygłupi, będzie leżał.

Mógłby tak krzyknąć ten chory chłopak i ten jego krzyk nie byłby głupi ani błazeński w roku 1945 na wiosnę, kiedy jego ojciec rozrywał pługiem tę miedzę — granicę między swoim polem a dworskimi obszarami i przyłączał do swojego półtora morga cztery morgi z dworskiego. Gdyby te słowa chorego chłopaka, ten pomyślany zaledwie okrzyk — ja chcę żyć, sprzedajcie pole — wypadł na wiosnę 1945 roku, ojciec mógłby sprzedać półtora morga i posłać syna na leczenie i zostawić sobie i rodzinie tylko cztery morgi. I choćby to sprzedanie nie przyszło mu tak łatwo, choćby mu było żal tego lichego pola, to jednak mógłby je po długim i rozważnym namyśle sprzedać i dać na to leczenie. Mógłby sobie pozwolić i kupić to życie syna za półtora morga ziemi.

W roku 1945, gdy zaorywał tę miedzę i wytyczał nową granicę dla swojego nowego pięcio- i półmorgowego pola, musiał pomyśleć, że byłoby dobrze, gdyby ta choroba syna i to wytyczenie nowej granicy dla jego pola zbiegły się w jednym czasie. Ale między jednym, a drugim jest 10 lat i na grobie tego chłopca wyrósł już duży krzak bzu. Więc już te słowa — sprzedajmy półtora morga — które nie oznaczałyby rzeczy strasznej na wiosnę 1945 roku i w latach następnych, nie mają począwszy od 1935 roku żadnego sensu; więc już chyba nigdy nie będą wypowiedziane w tej rodzinie, bo już zawsze byłyby wypowiedziane za późno.

Ale to musiało przychodzić na myśl; a najboleśniej musiało się o tym pomyśleć na wiosnę 1945 roku, kiedy już duże bryły zostały z tej miedzy, która miała kształt rozwartych kleszczy ściskających zagon tego starego od strony dworskich pól; albo może jeszcze wcześniej, to znaczy w chwili, gdy konie stanęły po obu stronach miedzy, a on po raz pierwszy w życiu — można powiedzieć — w jakiś uroczysty sposób szukał lemieszem najodpowiedniejszego miejsca na tej twardej granicy, aby potem, gdy zatrzeszczą chomąta i konie ruszą, czysto i dokładnie je rozorać.

I w roku 1961 i w następnych latach i chyba już do końca życia Walentego i jego żony Stefanii i jego córki Genowefy będzie się pojawiał ten ból na myśl, że w roku 1945 po zerwaniu miedz rozgraniczających chłopskie pola od pól dworskich, można było uratować życie tego chłopaka. A jeśli jego córka Genowefa powie o tym swoim dzieciom, to ten ból już w znacznie mniejszym nasileniu, już może tylko jako smutna myśl, trwał będzie jeszcze wraz z życiem dzieci Genowefy.

Można jeszcze przypuścić, że któreś z dzieci Genowefy zapamięta to sobie lepiej od reszty rodzeństwa i powie z kolei swoim dzieciom o tym, ale już jak nie o smutnym, ale raczej ciekawym wydarzeniu. Czyli już ta cała bolesna sprawa, to co się stało z tym bladym, wysokim synem Walentego może jeszcze potrwać już jako interesująca wiadomość przez życie wnuka lub wnuczki Genowefy. I chyba już wraz z końcem życia wnuków Genowefy skończy się.

Z teatru

Wieczór niespokojnych wrażeń

Na pustą — zamkniętą w surowych ramach szarych kotar — scenę, wchodzi bezimienny pracownik techniczny w roboczym chałacie i... zapala — jedyny element dekoracyjny — oliwny kaganek. Po chwili prowadzona punktowym reflektorem, pojawia się jakże drobna — w scenicznym osamotnieniu — kobieta w skromnej czarnej sukni, wdzie wa brązowy zakonny habit i...

I właśnie! W takich momentach często konstatujemy brak słów, wystarczających do dokładnego odzwierciedlenia sugestywnej siły odebranych wrażeń. A jednak trzeba to wyrazić; chociażby tylko dla tych wszystkich, którym nie udało się zobaczyć Danuty Michałowskiej w czasie jej występów w Rzeszowie). Lecz nie wystarczy ograniczyć się do kronikarskiej lakoniczności; jej interpretacja „Bram raju" J. Andrzejewskiego była nie tylko osobistym sukcesem artystki, lecz przede wszystkim na długo niezapomnianym wieczorem niezdyscyplinowanych refleksji i skojarzeń — wieczorem prowokującym nie kończące się dysputy.*

Duża zasługa końcowego sukcesu przynależna jest autorowi; ale nie pomniejszajmy tym zasługi Michałowskiej, za to, że odważnie sięgnęła właśnie po ten drapieżny temat dotykający spraw obcych ogółowi i odbiegających od utartych kolein norm moralnych, ale przecież — nie można temu zaprzeczyć — głęboko ludzkich. Nieprzypadkowo użyłem słowa „dotyka", gdyż Andrzejewski chyba przesubtelnił tu obrazowane zjawiska, w rezultacie czego chłoniemy — z niezaprzeczalnym narastaniem sympatii do bohaterów — detale poetyckiego reportażu, który zbyt subtelnie „dotyka" umownych motywów mechanizmu zdarzeń. A przecież jeśli nie zabrakło autorowi odwagi do uderzenia w drażliwe nuty; nie powinno mu jej zabraknąć i na następne akordy!

Ze szczegółami można by dyskutować; jedno jest jednak bezsporne... mieliśmy okazję oglądać kreację, której równe nieczęsto pojawiają się na teatralnych scenach. Kapitalne w oszczędnej prostocie, a jednak błyskotliwe w wyrazie sceny spowiedzi Blanki i Aleksego, niewątpliwie pozostaną w pamięci większości widzów jako klejnoty teatralnych doznań. Przy tym wszystkim nie można również zapomnieć o tym, że jest to spektakl dla ludzi o większym stopniu uczuciowej wrażliwości. Ich to — bliska pojęciom doskonałości — interpretacja sugestywnego tekstu, prawie dosłownie „paraliżowała" w ciągu dwóch godzin.

Równocześnie z wdzięcznością dla dyrekcji Teatru im. W. Siemaszkowej za sprowadzenie Michałowskiej, chciałbym zasugerować, aby artystkę tę raz jeszcze zaprosić i umożliwić usłyszenie jej nie tylko ponownie w Rzeszowie, ale może i — chociażby — w uteatralnionym Przemyślu.

*) Gościnne występy Danuty Michałowskiej w ramach tzw. Sceny Propozycji. Jerzy Andrzejewski „Bramy raju". Adaptacja tekstu i realizacja sceniczna — Danuta Michałowska. Muzyka — Krzysztof Penderecki. Kierownictwo literackie — Lidia Żukowska.

A. Duda — Dziewierz — dyr. Muzeum w Łańcucie
rys. J. Siemkiewicz

Kiedy kino nazywało się bioskop...

„Kiedy kino nazywało się bioskop, albo iluzjon" — pisał poeta o czasach, w których X muza stawiała dopiero pierwsze kroki i miała tyluż zwolenników co przeciwników. I choć niejednokrotnie odmawiano jej miana sztuki, to przecież ludzie tłumnie chodzili oglądać żywe obrazy. Pociągało ich nie tylko novum techniczne, sam rodzaj widowiska, ale coś daleko istotniejszego. Film przybliżał tym ludziom świat, pozwalał na oglądanie krajów i zjawisk, których większość z nich inaczej nie mogłaby nigdy zobaczyć.

Rozumieli to doskonale bracia Lumière, którzy pod hasłem „życie na gorąco" realizowali przede wszystkim krótkie filmy reportażowe. Podobny charakter miały także pierwsze filmy nakręcone w Warszawie.

Operatorzy, kręcący filmy dokumentalne od początku naszego stulecia — przemierzali wielkie przestrzenie i mimo poważnych trudności technicznych fotografowali ciekawe zjawiska i wydarzenia, przy czym nakręcone przez nich taśmy bardzo szybko szły na ekrany

Jednym z takich globtroterów był Jan Skarbek-Malczewski, który swoje bogate wspomnienia z wielu lat pracy w filmie spisał w książce pt. „Byłem tam z kamerą".

A był z ową kamerą nie w jednym miejscu. Porzuciwszy posadę kasjera restauracyjnego dla pracy w jednym z kin warszawskich jest m. in. świadkiem nakręcania w 1908 r. pierwszego filmu polskiego „Antoś pierwszy raz w Warszawie" z Antonim Fertnerem w roli głównej. Film zrealizowano w rekordowym czasie (dwa dni). Później Malczewski sam dostaje do rąk kamerę (38 kg wagi łącznie ze statywem) i rozpoczyna karierę operatora. Kręci sceny z polowań, potem sięga do zdjęć lotniczych, a jeszcze później filmuje wszystkie ważniejsze wydarzenia, m. in. pogrzeb Elizy Orzeszkowej w Grodnie. Tuż przed wybuchem I wojny światowej uczestniczy w realizacji filmu Przesądy" z Zelwerowiczem, Dulębianką i Wiktorem Kamińskim, „Meira Ezofowicza", „Historii jakich wiele", pertraktuje z Henrykiem Sienkiewiczem w sprawie przeniesienia na ekran „Potopu".

Wojna rzuca go do Rosji. Tam dostaje pracę w wielkiej firmie filmowej u słynnego Chanżonkowa. Następnie pracuje jako operator wojenny na różnych odcinkach frontu. M. in. w r. 1916 przyjeżdża do Przemyśla, gdzie filmuje wizytę cara Mikołaja i zburzone forty austriackie pod miastem. Po wybuchu Rewolucji Październikowej robi zdjęcia sztabu bolszewików w pałacu Krzesińskiej, potem na polecenie A. Łunaczarskiego kręci wiele filmów z demonstracji 1-majowych zebrań i pochodów oraz z pałaców carskich zamienionych na obiekty muzealne.

W roku 1918 wraca do Polski i tu, pracując aż do wybuchu II wojny jako dokumentalista, utrwala na celuloidowej taśmie wiele wydarzeń i uroczystości. Robi to nie tylko w Polsce, ale w Rumunii, Francji, na wodach Morza Bałtyckiego i Północnego. Będąc korespondentem PAT-a, filmuje przede wszystkim uroczystości z udziałem przedstawicieli rządu, m. in. słynne polowania Mościckiego z Goeringiem w Białowieży.

W swoich wędrówkach trafia także ponownie na Rzeszowszczyznę. Tym razem obiektem zdjęć jest pałac w Łańcucie, w którym Potocki gościł wówczas prezydenta. Później filmuje nowo zbudowany zakład hutniczy w Stalowej Woli.

Wspomnienia J. Skarbka-Malczewskiego w opracowaniu Marka Sadzewicza są lekturą interesującą i pożyteczną. Prócz momentów historyczno-przyczynkarskich jest tu sporo materiału gawędziarskiego i anegdotycznego. Całość jest bogato ilustrowana zdjęciami z filmów autora, m. in. z demonstracji w Piotrogrodzie z 1917 i 1918 roku, zdjęciami Przemyśla i okolic z 1916 roku i innymi fotografiami dokumentalnymi.

Książka ukazała się nakładem „Czytelnika".

WITOLD SZYMCZYK

Zdarzenia tygodnia

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie zorganizowała wiele wieczorów autorskich Michała Rusinka. Popularny pisarz spotkał się ze swymi czytelnikami m. in. w Czudcu, Strzyżowie, Żurawicy i w Medyce. W sobotę 2 czerwca br. również z inicjatywy Biblioteki Wojewódzkiej odbędzie się w Rzeszowie spotkanie z redaktorem naczelnym „Kameny" Marią Bechczyc-Rudnicką oraz z poetą Lubelszczyzny Konradem Bielskim.

* * *

W Domu Kultury WSK w Rzeszowie odbyła się zgaduj-zgadula o tematyce filmowo-czytelniczej pt. „Czcionka i kadr". Najlepszą znajomość tematu wykazali i nagrody otrzymali: technik z WSK — Zdzisław Sitarz oraz S. Golda i A. Więckówna.

* * *

Przy Jarosławskich Zakładach Przemysłu Terenowego zorganizowano zespół estradowy pracujący pod kierownictwem Danuty Markowskiej. Tańce przygotował Edward Wawrzyniak. Program, na który złożyły się recytacje, piosenki tria i kwartetu wokalnego oraz tańce został życzliwie przyjęty przez miejscową publiczność.

* * *

Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Gospodarki Komunalnej i Przemysłu Terenowego w Rzeszowie zorganizował konkurs czytelniczy na temat znajomości pisarzy ziemi rzeszowskiej.

* * *

Uroczysty przebieg miały rzeszowskie imprezy związane z Międzynarodowym Dniem Dziecka. M. in. zorganizowano specjalne pokazy zespołów artystycznych z widowiskami dziecięcymi, kiermasze z książkami dla dzieci w różnych punktach miasta, specjalne poranki i seanse filmowe dla dzieci i młodzieży, a także wielki kostiumowy bal dziecięcy z błyskawicznymi konkursami w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży.

* * *

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie zorganizowało w swych salach wystawę „Wspomnienia z podróży po krajach bałkańskich". Eksponatami są rysunki Józefa Cempli oraz fotografie Tadeusza Chrzanowskiego

* * *

Dziecięcy zespół teatralny działający przy Zakładach Mechanicznych w Nowej Dębie wystawia obecnie bajkę Ewy Szelburg-Zarembiny „Za siedmioma górami" w reżyserii Władysławy Bogaczowej. Tańce opracowała Maria Turkowa. Zespół ten przygotowuje teraz dwa nowe widowiska, a to sztukę o Matejce „Portret samotnego człowieka" oraz bajkę „Błyszczący klucz".

* * *

W ramach obchodów Międzynarodowego Dnia Dziecka Państwowe Ognisko Baletowe w Jarosławiu, przygotowało widowisko muzyczne pt. „Pociągiem przyjaźni przez świat". Na program tej składanki złożyły się tańce i piosenki różnych narodów oraz występy orkiestry perkusyjnej, której wykonawcami są dzieci w wieku przedszkolnym. Warto również dodać, że w widowisku brało udział ponad 200 dzieci i młodzieży.

WIDNOKRĄG odpowiada

Ob. Wł. M. Pilchów: Utwór potraktowaliśmy jako dowcip na „prima aprilis". Bo jakże inaczej można traktować wiersz, w którym się powiada: Tam mój geniusz się rodził, tam ja swoje święto obchodził"... Gdyby to było na serio śpieszymy uspokoić, że nie taki znowu geniusz.

Ob. „Czarny" Rzeszów: W wierszu „Noc" piszecie: „Słońce dawno skryło się za górą. Mrok rzuca na ziemię cienie ponure. Zza chmury wyszedł jasny sierp księżyca. Wieś w sen zapada — cisza, wokół cisza..." No i po cóż o tym pisać i to jeszcze do rymu. Wszyscy o tym dobrze wiedzą. Przecież poezja to odkrywanie czegoś nowego, niepowtarzalnego, własnego — przeżyć lub doznań, których nikt w ten sam sposób nie przeżył.

Ob. St. R. Mielec: Mimo układu wiersza Wasz utwór nie ma charakteru „mowy wiązanej". Można się łatwo o tym przekonać przepisując to samo inaczej. Otrzymujemy wtedy początek artykułu. Brak w tym utworze poetyckiego skrótu, metaforyki, nagłych błysków wyobraźni, a bez tych środków wyrazu nie ma poezji.

Ob. J. P. Tarnobrzeg: Wierszyk zręczny i przyjemny, lecz w drugiej i trzeciej strofie „puszczony" rytmicznie. Również w trzeciej strofie rymuje się słowo „łatwo" ze słowem „łatwo". To chyba zbyt łatwe rymowanie. No i nie zgadzamy się z tym, że tylko mazgaj w walce słabnie. Tym razem nie skorzystamy, ale od czasu do czasu prosimy nam coś przysyłać.

„Ajdos" — Strzyżów: Niestety, wiersze Wasze są jeszcze zbyt młodzieńcze, to znaczy naiwne w treści i niedojrzałe w formie. Trudno je traktować poważnie. Trzeba się jeszcze dużo uczyć, zdobyć własny stosunek do świata i dopiero wtedy próbować sił w piórze.

W Nadrenii i Westfalii rozbrzmiewa polska pieśń

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rzyszką w tułaczej doli na obczyźnie, a obecnie miłym wspomnieniem stron ojczystych i dowodem naszej pracy dla dobra i rozwoju kultury polskiej z dala od kraju".

Chór „Fiołek" w Recklinghausen rozsławia pieśń polską nie tylko w NRF. Zespół ten wyjeżdżał już do Francji, Belgii i Holandii. Był kilkakrotnie w Polsce i nawiązał serdeczne kontakty z kołami śpiewaczymi w Poznańskiem i w Bydgoszczy.

Nieopisane wprost uczucie ogarnia człowieka, który przyjechał do odległej prowincji NRF, do ludzi żyjących z dala od ojczyzny od dziesiątków lat i słyszy śpiewną polską mowę, jak na spotkaniu w WDK czy świetlicy ZMW w woj. rzeszowskim.

Radość ogarnia na widok chóru, w którym stoją obok siebie starzy weterani, górnicy-emeryci oraz młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy znają ojczyznę z opowiadań, z książek i pieśni.

W chórze „Halka" w Bochum śpiewa jeszcze do dziś 77-letni górnik-emeryt Władysław Toś, 70-letni Kazimierz Zmiewski, a obok nich młoda para małżeńska Tomczaków, licząca w sumie 45 lat.

W chórze „Fiołek" w Recklinghausen śpiewa cała 6-osobowa rodzina Józefa Majerczyka — córki, synowie, zięciowie. Obok 73-letniego Andrzeja Górczaka, najmłodsza śpiewaczka Dorota Thime. Przykłady takie można mnożyć.

Oddani działacze tego chóru, Roman Kaczmarek i Czesław Leśniak przekazali mi list do kół śpiewaczych Rzeszowszczyzny, z prośbą o nawiązanie kontaktów. Wydaje się, że takie kontakty, wymiana doświadczeń, a szczególnie wzbogacanie repertuaru chórów polonijnych rzeszowskimi piosenkami regionalnymi, będą bardzo pożyteczne dla rozwoju pieśni polskiej za granicą.

Dla uzupełnienia informacji o działalności Związku Polaków „Zgoda" w Niemczech zachodnich, warto dodać, że Związek ten organizuje rokrocznie wycieczki do kraju. Dzieci polskie w NRF wypoczywają co roku na koloniach letnich w Polsce. Znacznej pomocy w zakresie dostarczania książek polskich, podręczników szkolnych i pomocy naukowych, udziela Związkowi Polaków „Zgoda" Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie.

Nie wszystko jednak sprzyja utrwalaniu polskości, umiłowaniu języka ojczystego i tradycji narodowych wśród Polaków w Niemczech zachodnich. Nie mówiąc już o tym że grupki Polaków, to tak jak nikłe wysepki w morzu niemczyzny i że, niestety, wielu Niemców niechętnie przysłuchuje się polskiej mowie i pieśni, ale co gorsza, jest również w Niemczech zachodnich część Polaków z tzw. nowej emigracji, która w swoim ślepym, nierozsądnym politycznym zacietrzewieniu, utrudnia jednoczenie się Polaków, przeszkadza w kontaktach z krajem, a także nierzadko szkaluje dobre imię tych działaczy polonijnych, którzy swoje życie poświęcają pracy dla zachowania polskości na obczyźnie. Są takie pisma, jak „Narodowiec" wydawany we Francji, „Polak" — pismo tzw „Wolnych Polaków" w Niemczech, które kalają własne gniazdo, zatruwają umysły niektórych ludzi jadem nienawiści do Polski Ludowej, sieją zamęt i nieporozumienie. Ci pożal się boże redaktorzy rzekomo polskich pism, używają języka polskiego do szkalowania swojej ojczyzny, do fałszowania faktów historycznych, do straszenia ludzi — na wzór swoich mocodawców — widmem komunizmu, rozsiewają brednie i bzdurne kłamstwa o stosunkach panujących w kraju.

Jest jednak coraz mniej naiwnych, którzy dawaliby posłuch tym niedorzecznościom. Polskę odwiedza coraz więcej Polaków zamieszkałych za granicą, przekonywują się oni naocznie o stosunkach w kraju, o olbrzymich osiągnięciach i jeszcze piękniejszych perspektywach rozwoju i oni sami, po powrocie do miejsca zamieszkania, demaskują intrygi pseudopatriotów spod znaku Andersa.

Polonia w Niemczech zachodnich w zdecydowanej większości stoi na wysokości zadania, powinniśmy z nią stale zacieśniać kontakty.

Polski Zespół Pieśni i Tańca z Westfalii.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 1775, zastępca redaktora naczelnego 4618 zespół redakcyjny 2056, 2057 — wewn. 198